

Autor: [RadaVonVon](#)

Tłumaczenie: Kaczy

Korekta: Niklas

Social Standards

(Uwaga, jeszcze raz ostrzegam - jeśli tematyka m/m Cię razi - nie czytaj. Nie ma tu scen erotycznych, ani podchodzących pod erotykę, ale jest dużo rozważań i przemyśleń, więc... życzę miłej lektury.)

Część pierwsza

Wciąż pamiętam ten moment, w którym miałem ten krótki przeblysk, że mogę być inny niż wszyscy pozostali. To była drobnostka. Pewnego lata, kuzyn MacIntosh i kuzynka Applejack przyjechali do Appleoosy w odwiedziny. Było bardzo gorąco, nieustający upał powodował, że czułeś się non stop lepki i najchętniej wskoczyłbyś do lodowatego basenu. W zasadzie zrobiłbyś wszystko, byleby ulżyć sobie w żywym ogniu palącego słońca, choćby jedząc coś zimnego, pływając lub oblewając sobie głowę stróżką zimnej wody. Widziałem różne zwariowane rzeczy, które robiły wtedy kucyki, by się ochłodzić.

Zakurzone ulice Appleoosy raczej nie działały za dobrze na górne drogi oddechowe, a zwłaszcza na zatoki. Z racji tego, krwotoki z nosa były przypadłością często nękającą turystów. Pewnego dnia i mi się to przytrafiło. Moja matka spanikowała, zachowywała się co najmniej jakbym umierał. Krew kapiała po podłodze, podczas gdy ona szukała zapodzanego gdzieś ręcznika.

Byliśmy wtedy turystycznym miastem przy samej granicy. Mimo to, z jakiegoś niewiadomego powodu, odwiedzające nas kucyki zawsze zdawały się żałować swojej decyzji przyjazdu i wracały równie szybko, jak przyjechały. Zdawało się, że po prostu nie czuły się tu szczęśliwe, nie umiały docenić uroków tego miejsca, najwyraźniej pragnęły lub spodziewały się zastać tu coś zupełnie innego.

Nie miałem pojęcia, dlaczego tak było. Appleoosa, jako moje miasto i dom, zawsze napawała mnie dumą. I nie bałem się tego okazywać. Co ciekawe, z pewnego powodu, niektóre kucyki uwielbiały wprost ekscytować się przygranicznym miejscem, a zwłaszcza widokiem ogrodów, niemniej jeśli nie byli tacy jak AJ lub Mac, zawsze wyjeżdżali po dniu, czy dwóch.

Applejack za młodu to istne ciepłe kluchy. Na nic nie mogła się zdecydować. W jednej chwili lubiła kolor niebieski, w następnej zielony, moment później fioletowy, by przerzucić się na czerwony. Myślę, że to dlatego wyjechała na Manehattan, do naszych kuzynów Orange. Nigdy ich nie spotkałem, ale uważam że musieli być całkiem w porządku, skoro umożliwili jej dość długi pobyt.

AJ zawsze uwielbiała się kłócić. Nie zmieniło się to do dziś. Nawet jeśli wiedziała, że nie ma racji, i tak walczyła i zapierała się wszelkimi sposobami. Ty lubieś zielony, ona niebieski. Wolałaś ciasto, a ona placki, na przekór. Zdarzało jej się zmieniać swoje nastawienie wobec czegoś w pięć minut tylko po to, by mieć pretekst do sprzeczki.

Big Mac zawsze był, jaki był. Całe życie bardzo cichy, ostatecznie wyrósł na łagodnego

wielkokucyka, by nie powiedzieć giganta. Wbrew pozorom, jego inteligencja znacznie przerastała pozory, które na pierwszy rzutu oka sprawiał. Zresztą, nigdy nie obchodziły go opinie innych. Myślę, że to dobrze, po co miałby niepotrzebnie się zamartwiać? Kiedy spytało się go o coś, myślał przez chwilę i odpowiadał: „eetak”, lub „nnnnie”, i... tyle.

Rodzeństwo kontrastowało z sobą jak czarny kolor z białym, albo i bardziej. Applejack, zawsze zapalczywa i gwałtowna, kierująca się emocjami i impulsywnością, kontra Big Mac: poukładany i opanowany, niespieszący się nigdzie, podejmujący decyzje po długich przemyśleniach i rozważaniach.

W roku, w którym rodzeństwo przybyło do Appleoosy, ich mama była jeszcze w ciąży z Applebloom. Lecz tragedia... No cóż. Para rodziców poradziła sobie z wychowaniem dwójki świetnych źrebiąt, lecz w kilka lat po narodzinach małej klaczki, ulegli bardzo niefortunnemu wypadkowi z ciężkim wózkiem wypełnionym jabłkami, z którego nie udało im się ująć cało.

To był najtrudniejszy moment naszego życia. Otworzył oczy nam wszystkim. Strata wujka Johnego i cioci Appleseed spowodowała, że zwróciłem większą uwagę na moje życie i rodzinę. Mój ojciec nazywał się Green Delicious, a matka Apple Blossom. Ciocia Appleseed i matka były siostrami, które to wydała na świat Granny Smith.

Zawsze będę dobrze wspominał swojego ojczulka. Wbił mi się w pamięć jako szczerzy, ciężko pracujący ogier. Jego grzywa mieniła się czarnym umaszczeniem, a futro lśniło grafitową szarością. Pewnego razu sierść na nim tak bardzo nasiąknęła potem, że i ona wyglądała na węglowo-czarną. Tato był jednym z pierwotnych założycieli Appleoosy, o czym zresztą opowiadał mi setki razy, do znudzenia. Jego charakter wyróżniała jedna szczególna cecha: praktycznie nie dało się go zezłościć. Jeśli jednak, w jakiś sposób, udało się wytrącić go z równowagi, stawał się najstraszniejszą rzeczą chodzącą po ziemi, jakby żywcem wyjęty z krainy horrorów. Krzyczący, sapiący, trzęsący się konwulsyjnie, ze złym błyskiem w oku.

Z kolei moja mama to zupełnie inna historia. Mała, wątła istota, a przy okazji najpiękniejsza klacz w całym mieście. Długa, złota grzywa rozlewająca się wokół uszu, karku i ramion jak strumienie, lub raczej rzeki. Jej wspaniałe, pomarańczowe futro zapierało dech w piersiach. Próżno było szukać czegoś tak niezziemskiego. Przysięgam - dosłownie lśniło i błyszczało w południkowym słońcu.

Rankami zawsze przygotowywała naleśniki podsmażane na maśle, z wielkimi kawałkami jabłek zatopionymi w cieście. Grube, pulchne skrobiowe placki były ulubionym daniem taty. A spróbowałbyś tylko jeść je bez szklanki mleka!

Cała nasza rodzina trzymała się razem: mama i jej siostra, tata i wujek Johny, ja, Applejack i Big Mac również. Być może to właśnie wtedy, kiedy zginęła ciocia i wujek, wszyscy tak bardzo się zmienili. Applejack dojrzała, a jej brat zaczął odzywać się jeszcze rzadziej niż zwykle. Odtąd, przy następnych wizytach w Appleloosie zachowywali się dość oschle i posępnie. Wydaje mi się, że to chyba zbyt szybkie dorastanie odcisnęło na nich piętno w ten sposób.

Tego szczególnego lata, podczas którego kuzynostwo miało odwiedzić pustynne miasteczko, nastąpił ciąg z pozoru losowych wydarzeń, które ostatecznie doprowadziły mnie do stanu, w którym znajduję się obecnie. Przedtem byłem tylko źrebakiem, nie miałem pojęcia, co mnie czeka. Nie wiem, czy przeznaczenie istnieje, czy nie, ale mogę stwierdzić, że życie płata czasem niezłe figle.

Dyskutowaliśmy o czymś typowym, na temat, który zazwyczaj taki dzieciaki jak my zwykli rozmawiać, by brzmieć jak najdoroślej. Małżeństwo. Oczywiście nikt z nas nie rozumiał tak

naprawdę znaczenia tego słowa i konsekwencji jakie ze sobą niesie. Mimo to, drążyliśmy temat. Applejack nalegała i zapierała się, że poślubi brata, ponieważ wszyscy jego rówieśnicy byli „obleśni” i „mieli wszy”. Big Mac, zupełnie spodziewanie nie miał obiekcji wobec planów siostry, jedynie wzruszał ramionami.

- Hej! - przerwałem beztrząsco, wskazując kopytem na czerwonego żrebaka obok. - Co, jeśli ja będę chciał poślubić Big Maca?

Nie było w tym nic dziwnego, prawda?

Applejack zmarszczyła swój piegawaty nos:

- Żrebaki nie mogą żenić się z innymi żrebackami! - powiedziała z naciskiem, patrząc na mnie z lekkim wyrzutem. - Wszyscy to wiedzą!

- Dlaczego nie? - pochyliłem na bok w głowę, w zamyśleniu.

- Bo tak już po prostu jest! - wybąknęła. - Pfff, Braeburn, jak możesz być tak niemądry? - złośliwie uśmiechnęła się szeroko, machając w moją stronę kopytkiem.

W dalszym ciągu nie do końca mogłem to zrozumieć. Wstałem więc i pchnąłem klamkę w drzwiach, wychodząc na korytarz. Zalany był stonowanymi, ciepłymi odcieniami czerwieni. Podłoga i listwy na ścianach wykonane były z ciemnego, polerowanego i woskowanego dębu. Unoszący się z niej zapach zaczął właśnie wypełniać moje nozdrza, gdy skierowałem się na prawo, w stronę kuchni. Mamy i taty nie było, załatwiali jakieś sprawy w mieście, podczas gdy ciocia i wujek zmuszeni byli zostać na jakiś czas na Akrach Słodkich Jabłek w Ponyville, zostawiając nas pod opieką babci Smith.

- Babciu? - zapytałem cicho i grzecznie, wchodząc do pokoju. Jako, że była najstarszą osobą w rodzinie, odnosiłem się do niej z należyty szacunkiem.

- Tak, mój drogi? - odpowiedziała starsza zielona klacz, odkładając na moment przyrządy do szydełkowania i uśmiechając się łagodnie.

- Czy żreback może poślubić innego żrebaka? - zapytałem. Ciekawość mnie zżerała.

Babcia Smith zamyśliła się na moment, zmarszczyła brwi i pochyliła się w moją stronę.

- Dlaczego pytasz, Braeburn?

- No bo kuzynka Applejack powiedziała, że chce wyjść za mąż za MacIntosha, na to ja spytałem, czy też mógłbym go poślubić i... - moja wypowiedź została przerwana gwałtownym uderzeniem w obydwoje uszu naraz. Kłujący ból utrzymywał się w nich przez moment, po czym przeniósł się na ucho środkowe, pozostawiając po sobie głośne i niemniej bolesne pischczenie.

- Posłuchaj ty mnie! - poczułem ramię babci Smith na swoim karku, podciągające mnie bliżej. - Żrebaki nie żenią się z innymi żrebackami. Nie chcę nigdy słyszeć podobnych bzdur. Żrebaki nie mogą poślubić innych żrebacków! - powtórzyła raz jeszcze, donioślej. - Zrozumiałeś mnie, chłopcze?

- T-tak - wymamrotałem, wykręcając się w końcu z uścisku i przestraszony, drobnymi kroczkami, pobiegłem do swojego pokoju.. Spotkałem tam zadowoloną z siebie Applejack i podirytowanego Maca.

- Dała ci po uszach! - śmiała się AJ. - Mówiłam ci, że to głupi pomysł, Brae! - Pomarańczowa klaczka pogardliwie wystawiła język, wypuszczając jednocześnie powietrze z płuc.

Skrzywiłem się, jednocześnie tupiąc kopytem o podłogę.

- Nie rozumiem. Dlaczego źrebaki nie mogą być z innymi źrebackami? - upierałem się wobec Applejack, czując nabierające powoli łzy w moich oczach.

- Najlepiej, jakbyś nie zadawał więcej takich głupich pytań – powiedziała klaczka, używając wyniosłego, dojrzałego, moralizatorskiego tonu, jakby była o wiele starsza. - Granny Smith powiedziała to mi, powiedziała to Big Macowi, powie to też Applebloom.

- Ale czy babcia nie powinna być miła? - spytałem, wzdrygając się lekko.

- Babcia jest miła! To z ciebie jest taki dodo! - odparła AJ, lecz spostrzegła najwyraźniej łzy błyszczące w moich oczach, spochmurniała i dodała: - Ooo, Brae, nie chciałam. Nie jesteś dodo!

- Naprawdę? - przełknąłem ślinę, z mojej twarzy ustąpił dotychczasowy grymas.

Applejack pokiwała głową.

- Naprawdę! I jeśli chcesz, możesz poślubić mnie. Mac ożeni się z babcią.

- D-dobrze... - wymamrotałem, niepewny, czy faktycznie chcę ją poślubić.

Do końca ich pobytu a Appleosie, nie poruszałem już tego tematu. Bawiliśmy się tak jak zawsze, lecz w moim umyśle ciągle ciążyło to pytanie. Dlaczego dwójka źrebacków nie może się pobrać? A czy dwie klacze mogą być razem? Zostawiłem tę kwestię na kilka miesięcy, zanim wpadłem na pewien pomysł.

Wziąłem stare pudełko z przyborami do rysowania, które leżało obok lodówki, oraz starą, pożółkłą kartkę papieru. Była trochę zmierzchwiona na brzegach i zdecydowanie wiekowa, ale nie miało to znaczenia. Mając w głowie ścisły, jasny plan, spoglądałem na własne kopyta, próbując zdeterminować, jakim kolorem określić swoje futro.

Żółty. Z całą pewnością żółty. Wziąłem więc świecówkę i zacząłem kreślić tłuste linie, składające się na lekko koślawe kształty, na grubym kawałku papieru, zatrzymując się tylko raz, by zdmuchnąć z niej żółte okruchy kredki. Spochmurniałem z lekka, uświadamiając sobie, że nie znam własnego koloru oczu. Rozejrzałem się w poszukiwaniu czegoś lustropodobnego. Akurat siedziałem obok okna. Było w sam raz. Pochylony, próbowałem ujrzeć na tafli szkła swoje odbicie, zamiast krajobrazu prześwitującego za nim.

Zielony. Jasny, jasny, przenikliwy zielony. Nigdy dotąd nie widziałem takiego koloru. Intensywniejszy niż barwa wszystkich jabłek, które dotąd widziałem. Oprócz oczu, przy okazji przyjrzałem się jeszcze grzywie. Pomarańczowa z wieloma złotymi rozjaśnieniami. Ciągnęła się po całym karku, by skręcić się na końcach w kilkudziesięciu bardzo luźnych puklach, z czego kilka z nich zachodziło mi na czoło. Obracając głowę w stronę ogona spostrzegłem, że był w dokładnie tych samych barwach.

Mając te cenne, dopiero co poznane informacje, zabrałem się do pracy. Jasny pomarańczowy, ciemny pomarańczowy i zielony. Nagryzmoliłem dwie zielone elipsy na twarzy postaci przedstawiającej kucyka, po czym zabrałem się za grzywę. Dla lepszego efektu, dodałem

również rozjaśnienia. Obrazek nie powalał, ale z całą pewnością nie był zły.

Położyłem się, by na spokojnie ocenić rezultaty pracy. Była to dziecinna karykatura mnie samego, choć wtedy uważałem ją za podobną do mojej osoby jak dwie krople wody. Planując malunek drugiej postaci, wziąłem ciemnobrązową, jasnobrązową i niebieską kredkę. Po chwili udało mi się uzyskać coś, co wyglądało jak sylwetka kucyka, zabrałem się więc za tworzenie kolejnej grzywy, o wiele krótszej niż moja, potem ogona, by na końcu dodać parę niebieskich oczu.

Był to Caramel, jeden z kilku innych źrebaków, jakich znałem w Appleosie. Jego rodzice przyjaźnili się z moimi, przez co spędzaliśmy razem trochę czasu, w wyniku czego - w pewnym sensie - wpadł mi w oko. Po prostu był ładniejszy niż wszystkie okoliczne klaczki. Lubiłem je, ale tylko jako przyjaciółki. Z jakiegoś powodu w ogóle nie czułem ochoty żenić się z jakąś, albo mieć dziewczynę. Zastanawiałem się, czy w porządku byłoby mieć chłopaka, będąc źrebakiem, nawet, jeśli niemożliwe było takie małżeństwo.

Dumny z siebie, spakowałem kredki z powrotem do zardzewiałego pojemnika i odstawiłem na miejsce pomiędzy lodówką a zlewem. Z racji niskiego wzrostu, usiałem pomóc sobie w tej czynności podstawiając pod skrytkę krzesło.

Pomyślałem, że może mój tata zrozumie o co mi chodzi, to w końcu męska sprawa.

Ojca określiłbym jako łagodnego i uprzejmego ogiera. Przy tym jego charakter był dość nieugięty, z powodzeniem mógłby startować o miano najbardziej upartego kucyka w Equestrii, gdyby nie moja matka, swoim wpływem łagodząca nieco tę cechę.

Potruchtałem do niego, trzymając w zębach rysunek.

- Tato?

- Eeetak? - odbąknął, nie wychylając się zza czytanej przez siebie gazety. Siedział niczym posąg, pogrążony w swojej ceremonii picia kawy i delektowania się nowościami zamieszczonymi w prasie.

- Czy źrebaki mogą żenić się z innymi źrebakami? Albo mieszkać ze sobą? - przechyliłem głowę opierając ją prawie na ramieniu, patrząc jak powoli, w zdziwieniu wznosi brwi.

- Dlaczego pytasz, synu?

- Bo kuzynka Applejack powiedziała, że nie mogę poślubić innego źrebaka, ale myślę, że lubię Caramela, więc zastanawiałem się... No bo wiesz, masz rację w tych sprawach.

Mój ojciec pozostał milczący przez kilkanaście sekund. Złożył powoli gazetę, kładąc ją na kolanach, i pociągnął łyk kawy, połykając głośno. Wydawał się zamyślony przez kilka chwil, podczas gdy stukał cicho kopytami.

- Braeburn – przełamał w końcu milczenie, spoglądając na mnie.

- Tak jest! - odparłem. Tak! W końcu ktoś da mi odpowiedź na to pytanie!

Mrugnął, mocno zaciskając powieki. Jego lekko wibrujący głos zdradzał o wiele bardziej niż twarz, że jest wściekły.

- Nie chcę, byś kiedykolwiek więcej wspominał o tej bzdurze! – znów mrugnął. Jego głos

podnosił się z każdym słowem. – Żrebaki nie układają sobie życia z innymi żrebakami, świat nie jest tak skonstruowany. Nie chcę, byś nigdy, przenigdy więcej o tym wspominał! Zrozumiałeś mnie, synu?! - spojrzał groźnie. Zamarłem i posmutniałem jednocześnie.

- Och... T-tak jest.

- A teraz idź do swojego pokoju.

Popędziłem więc do mojego małego zakątka, czując ścinającą się w żyłach krew. To cud, że nie spuścił mi lania jak babcia Smith. Do tej pory miewam przez to od czasu do czasu lekkie problemy ze słuchem.

Natychmiast zgniotłem mój rysunek i wyrzuciłem do kosza. To nie był ani trochę dobry pomysł. W głowie pojawiło mi się pytanie - co było złego w mojej ciekawości? Może tylko dorosłe kucyki to rozumieją? To była jedna z zasad ich świata... Tak najwyraźniej musiało być.

Usłyszałem dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi, które rozniosły po domu znajome vibracje. Do mych uszu dotarł przytłumiony dźwięk kopyt stawianych po drewnianej podłodze oraz cichego mamrotania. Z ciekawości przycisnąłem ucho do drzwi .

- To DUŻY problem, dobrze? - słyszałem syczącego ojca. - Nasz syn jest... dziwakiem.

- Że niby c... - odparła matka, urywając w pół słowa, z lekka oszołomiona. Lecz zaraz potem roześmiała się. - Proszę cię, Green. Wiem, że nie lubisz jego grzywy, ale teraz robisz się nedorzeczny.

Po chwili ciszy, ojciec huknął:

- Ach, ja nie żartuję! Apple Blossom, coś jest nie tak z tym żrebakiem. Powiedział mi, że zakochał się w Caramelu, tym dzieciaku z sąsiedztwa.

Nastała jeszcze dłuższa cisza, którą cichym i smutnym szeptem przerwała matka:

- Cóż, cóż... Istnieje lekarstwo na takie rzeczy. Pani Candy Apple wspominała mi o tym. To ponoć bardzo skuteczne...

- Pff - zadrwił ojciec. - Nie wierzę w żadne nonsensowne abrakadabra. Nasz chłopiec musi być przywrócony do pionu, ale to zaraz!

- Więc co proponujesz? - spytała.

- Znajdę mu zajęcie. Jakiś niezły, fizyczny wycisk - powiedział z przekonaniem. - Trochę ciężkiej, solidnej pracy nie zaszkodzi. Słyszałem, że takie rzeczy powodowane są przez dysharmonię. Tak czy inaczej, zabiorę go do pomocy w ogrodzie, to szybko postawi go na kopyta.

- Tak, rób to po swojemu! – sarkastycznie odparła mu matka. - Słyszałam, że jest lekarstwo...

- Za drogie - zaprzeczył tata. - Zresztą, po co aplikować w niego jakieś medykamenty, kiedy wystarczy skierować go do pracy? To załatwi sprawę, jestem tego pewny.

Niestety nie byłem w stanie zrozumieć większej części konwersacji. Zmarszczyłem brwi i oparłem się o ścianę.

W jakiś sposób dotarło do mnie, że nie byłem dobrym żrebakiem.